Świat powieściowy.

Nr. 155 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Dziewczę szkarłatem spłonęło. Do radości zobaczenia tak nagle i niespodziewanie ukochanego, przymięszało się uczucie wstydu, że ją zastaje w tak dziwnej sytuacji. Nie był że to najfatalniejszy zbieg okoliczności, żeby „anioła opiekuńczego, istotę wyższą, idealną“ — bo taką przecież malował ją listach swoich Paweł — zastać, bawiącą się „w żołnierza“ z dzieciakiem czteroletnim! Na szczęście Paweł był może więcej jeszcze niż ona pomięszany.

— Przepraszam, jeżeli nie w porę przeszkodziłem... — jąkał się wahająco — przejeżdżałem tędy i... i... chciałem się dowiedzieć o zdrowiu pani!...

— Dziękuję! — Lily dygnęła, zupełnie zbita z tropu. — Jestem, jak pan widzi, zdrową i... i... gram z małym Tony w żołnierza.

W bezprzytomności swojej, grabie zamiast precz odrzucić, przełożyła tylko z ręki prawej do lewej, co Tony z precyzją wojskową natychmiast naśladował, czekając na dalsze rozkazy Pana komendanta.

— Nie gniewaj się pani za ten napad... nie bardzo może stosowny... W rzeczy samej przypadek mnię sprowadził pod altanę, a gdy śmiech twój usłyszałem, wtedy... wtedy... nie mogłem wytrzymać, żeby cię bodaj przelotnie nie zobaczyć i nie pozdrowić!

Na nowo cała Lily twarzyczka w ponsach stanęła, chociaż słowa te nie były dla niej żadną nowiną. Listy Pawła, ostatniemi czasami, aż nadto jasno wyrażały, komu teraz hołdy u nóg składa. Z tem atoli przekonaniem, zniknęła Lily swoboda, z którą go dawniej witała. Nie wiedziała, że właśnie ta wstydliwość dziewicza i pomięszanie, dodaje uroku, i czyni młodą dziewczynkę zachwycającą! Znajdywał, że i przyłbica papierowa stroi ją prześlicznie, a grabie sążniste, w niczem całości nie psują i bynajmniej uwielbieniu jego nie przeszkadzają.

Tony tymczasem wielce się niecierpliwił przerwą w nauce tak pożytecznej! Zaproponował więc śmiało baronowi, żeby poszukał sobie grabi, i stanął również jako rekrut pod Lily komendę.

Ten wniosek pomógł Lily do odzyskania choć w części straconej równowagi. Pamiętała doskonale, jakim tonem jej się pozbywano z pokoju, gdy w czemkolwiek stała na przeszkodzie; przybrała więc minę surową Wilmuta, i rzekła z całą powagą i energją:

— Wyjdź Tony!... Mam z panem baronem o czemś bardzo ważnem do pomówienia!

Tony skrzywił się okropnie! Że to było jednak dziecię potulne i posłuszne, rozkaz spełnił natychmiast, prowadząc zabawę na własną rękę dalej. Wyszedłszy, zaczął krokiem miarowym przechadzać się tam i nazad po pod altanę z bronią na ramieniu, niby szyldwach postawiony na ważnym posterunku.

I Lily grabie na ramię przerzuciła, ściskając w dłoni kurczowo, jak gdyby od tego życie jej zawisło! Teraz jednak Paweł rozbroił ją delikatnie, a stawiając grabie pod ścianą, rzekł z uśmiechem:

— Odłóż pani na bok tę broń straszliwą! Wyglądasz z nią na stopie tak wojennej, iż nie śmiem wcale bliżej przystąpić. Mam zaś tyle, tyle, z panią do omówienia! Byłbym od dawna zleciał do Rosenberg, gdybym miał był po temu odwagę. Nie wiedziałem w ogóle, jakby pani Hertenstein przyjęła moje odwidziny... a ty Lily, byłażbyś mi rada?!

Nie odpowiedziała, oczy jej jednak i zbladłe usteczka wymownie słowa zastąpiły. Paweł zrozumiał, pochylił się nad nią, mówiąc dalej tonem coraz bardziej namiętnym i czułym:

— Dość jasno wyrażałem w listach uczucia moje.. Wiesz zatem, co mam powiedzieć... o co prosić przyszedłem... Czyż będę błagał nadaremnie?!

Niby cień smutku, przeleciał po gładkiem czole młodej dzieweczki, a w ciemnych źrenicach łza błysnęła. Szepnęła głosem drżącym i wahającym:

— O cóż mię pan prosić możesz?... Cóż ja panu dać mogę? Przecież kochałeś siostrę moją?...

— Kochałem! — Paweł rzekł uroczyście — i nie myślę nikczemnem zaparciem zmniejszać wartości uczucia, którego zupełnie wstydzić się nie potrzebuję! O ile miłość ta była bez przyszłości, uznałem dopiero temi dniami. Teraz czuję w całej pełni, jak mi była pani prezydentowa, duchem obcą i niedostępną, a jak natomniast bliską mi była „inna“ od pierwszej chwili, która nas razem sprowadziła. Czy przebaczysz mi Lily, iż nie byłaś pierwszą moją miłością? Dziś — mogę przysiądz! — kocham cię sercem całem! Zechcesz że

uwierzyć moja luba, śliczna Lily, żeś serce moje opanowała bez podziału, i czy odpłacisz mi równą mojej szczerej miłości wzajemnością?

Był to w rzeczy samej głos z serca płynący, rozprószył też w Lily umyśle wszelki cień smutku i wszelkie powątpiewania Przez łzy uśmiechnęła się słodko:

— I ja cię kocham najdroższy! — wyrwał się okrzyk radośny z jej serduszka, które biło, biło, jakby uczucie roskoszne rozsadzić je miało za chwilę, i olśniona, upojona, rzuciła się mu w objęcie. Przycisnął skarb swój namiętnie do piersi, hełm papierowy spadł na ziemię, a w drzwiach otwartych stał Tony osłupiały, z oczkami wybałuszonemi z buzią otwartą, medytując nad tym nowym zwrotem wojennym. Ta cała historja wydawała mu się dziwnie podejrzaną!...

Arnold tymczasem trzymał konie powierzone jego dłoniom, w najgorszym atoli humorze i dotknięty do żywego! Wiedział wprawdzie co znaczą te odwidziny nie potrzebował, żeby mu, — jak się wyrażał: — „Wszystko na łopacie do głowy wkładać!“srodze go jednak bolało zawzięte milczenie i nieufność panicza!

Paweł był narzeczonym pani Hertenstein, to było jasnem, jak nieprzymierzając słońce w południe! Ukrywano się z tym aktem, jedynie ze względu na księdza Wilmuta, ale żeby i przed starym, wiernym sługą, robić z tego tajemnicę, to zbrodnia! to się nie godzi! Musi więc roztrząsnąć sumienie swojemu paniczowi.

Do wszystkich chwalebnych zalet i przymiotów Arnolda, należała w pierwszym rzędzie ciekawość niepohamowana. Z duszy radby był coś podpatrzeć, wyszpiegować, a tu jak na złość nie mógł zostawić ani na chwilę, koni żywych i płochliwych niesłychanie. Czegoż jednak silna wola nie dokaże, i jakich przeszkód nie obali! Ta prawda i tu jaskrawo wystąpiła. Arnold podjechał bliżej, pod samo okno altany, ma się rozumieć całkiem przypadkiem! dla tego, że mu konie stać nie chciały. Przypadkiem również odgiął gałęzie drzewa, które groziły całości powoziku, i wyciągnąwszy jak żóraw długą szyję, starał się koniecznie zajrzeć do wnętrza altany.

I to naprzód wiedział, jaki obraz przedstawi się oczom jego. Jaśnie pani prezydentowa siedzi z powagą na sofie lub na fotelu, panicz klęczy przed nią w kornej postawie, i z czcią dłoń jej miękką do ust przyciska. Był tak dziwnie nieśmiałym, tak pełnym szacunku, w swojem dla niej uwielbieniu! Zobaczył atoli zupełnie coś innego!

O pani Hertenstein w ogóle słychu nie było, a panicz obejmywał ramieniem jakąś obcą młodą damę dziwnie przystrojoną hełmem papierowym, z pióropuszem na wierzchu. I tak stali oboje na środku, całując się bez końca, bez najmniejszego uszanowania i *decorum*, ale za to z poufałością, dającą wiele do myślenia! Nagle zsunął się hełm z głowy i Arnold poznał Lily ciemne warkocze i twarzyczkę rumianą... tego było nadto dla starego! Lejce z rąk mu się wysunęły, i o mało sam nie spadł z koziołka, tak się okropnie przeraził!

Nie tak rychło wyszedł Paweł z altany. Chciał poprowadzić natychmiast swoją narzeczoną do pani Hertenstein, Lily jednak energicznie przeciw temu zaprotestowała, przez wzgląd na obecność księdza Jerzego. I Paweł nie radby był spotkać się z proboszczem, z którym rozszedł się po rozmowie ostatniej tak nieprzyjaźnie, po wypowiedzeniu sobie wojny nawzajem. Na cóż miał burzę wywoływać, zaraz na początku serdecznego z Lily porozumienia. Ułożyli zatem, iż Lily najprzód z siostrą pomówi, on zaś jutro przyjedzie, aby oświadczyć się formalnie o jej rękę.

— Otóż jestem! — Paweł zawołał, wskakując na koziołek, i lejce w dłoń ująwszy. — Zabawiłem się trochę dłużej.

— Bardzo długo! — potwierdził Arnold tonem ponurym i złowrogim, którego atoli Paweł wcale nie uważał. Puścił konie w pełnym galopie, a twarz mu najwyższą radością promieniała.

Arnold pogrążył się zrazu w głuchem milczeniu. Chciał najprzód stracić z oczu miejsce zdrady ohydnej, czekał zresztą, żeby się skończyła droga pełna wybojów, po której wózek skakał jak opętany, co mogło zmniejszyć efekt piorunujący kazania, na ustach starca wiszącego. Gdy wjechali na równy, murowany gościniec, wyprostował się, o ile mu na to plecy zgarbione pozwoliły, i rzekł tonem uroczystym:

— Paniczu, ja drżę przed pańską przewrotnością!

— Co robisz? — zwrócił się ku niemu Paweł zdziwiony.

— Drżę z oburzenia!—powtórzył stary energicznie. — Tegom się jednak doczekać nie spodziewał! Nawet i tam we Włoszech nie działy się podobne herezje! Tak, tak, paniczu! nawet signor Bernardo, nie byłby się może dopuścił podobnej niegodziwości!

Był to szczyt pogardy i nagany, jeżeli stawiał swojego panicza niżej od signora Bernarda. Uderzyło też to Pawła, i trochę zaniepokoiło.

— O cóż właściwie idzie? — spytał strwożony.

— Jeszcze się panicz pyta?! — Arnold wykrzyknął. — Zaręczyliście się z jaśnie panią prezydentową, a cichaczem wyznaczasz pan schadzki jej siotrze! Ściskacie się i całujecie, jakby nigdy nic... to woła o pomstę do nieba!

Paweł śmiechem wybuchnął, tak mu było jednak jasno w sercu, iż nawet na szpiegostwo starego zapatrywał się tym razem wesoło.

— Aha! jużeś znowu puścił się na przeszpiegi! Zdawało mi się, iż jakąś fizys skrzywioną widzę w oknie, nie zwróciłem jednak na to uwagi, mając ważniejsze i przyjemniejsze sprawy do załatwienia!

Ton lekki panicza, wydał się Arnoldowi szczytem bezwstydu i niegodziwości. Rozpoczął kazanie w tonie tak patetycznym, iż wszystkie dotąd wypowiedziane gasły przy niem, jak gwiazdy w obec słońca blasku promienistego. Signor Bernardo przemienił się niemal w jasnego Cherubina, w obec Pawła czarnej duszy, pełnej obleśnej obłudy, zdrady i niczego nie szanującej

rozpusty! Paweł, bawiąc się paradnie tą wymową złotoustą staruszka, słuchał z nabożeństwem, w ducha skupieniu; dopiero gdy Arnold strudzony zakaszlał się, i tchu na razie złapać nie mógł, przemówił wesoło:

— Najprzód Arnoldzie, wychodzisz z zupełnie fałszywego stanowiska. W tem wszystkiem coś naplótł, nie ma ani słowa prawdy! Z panią Hertenstein nie byłem w życiu zaręczony, co zaś do jej młodszej siostry, jutro przedstawię cię tejże w Rosenberg, aby dać ci sposobność złożenia u jej stóp najgłębszego uszanowania, jako przyszłej twojej pani i władczyni!

— Tej małej ?!... w hełmie papierowym ?!... — Arnold znowu byłby prawie spadł z kozła z wielkiego zdziwienia.

— Pannie Lily Wilmut, mojej narzeczonej! — potwierdził Paweł tonem surowym. — Czegóżeś się tak na mnie wygapił, jak gdybym ci prawił o wilku żelaznym? Czyż nie znajdziesz dla mnie w sercu ani jednego życzenia poczciwego ?...

Arnold długo, długo, nie mógł odzyskać równowagi. Gdy wreszcie trochę ochłonął i zdołał przemówić, złożył ręce miłosiernie i rzekł tonem płaczliwym:

— Toż to będzie w Buchdorf harmider, rany Chrystusowe! Czy trzeba mnie na starość takiego kłopotu! Jeszczem z paniczem nie skończył, a tu zaczynaj znowu edukować młodą jaśnie panią baronowę!

XIX.

Pan na Werdenfelsie słowa dotrzymał. Cierpliwość jego wyczerpała się nareszcie, i wieś doświadczyła po raz pierwszy całej surowości nieubłaganego władcy i dziedzica. Mimo wszelkich ostrzegań, nie zaprzestano niszczyć parku po nocach, tym razem atoli, na rozkaz Rajmunda, psotników pochwytano, i uwięzieni prowizorycznie, oczekiwali kary zasłużonej w kryminale...

Od dawna przyjmowano w Werdenfels niechętnie i z podejrzliwością, czyn każdy ordynata, nie mniej jednak ludność tutejsza nawykła do zupełnej z jego strony bezkarności. Gdy zdobył się na krok energiczny, zrazu wieś struchlała przerażona, wkrótce jednak dał się słyszeć jednogłośnie okrzyk zgrozy i oburzenia najwyższego, a wszyscy na to się zgodzili, iż temu z Felseneck czegoś podobnego nie powolą i nie zniosą!

W kościele, po mszy rannej, słychać było jeszcze szmer dochodzący z konfesjonału. Musiała to być spowiedź ciężka do wypowiedzenia, bo penitent opuścił siwą głowę na piersi, usta zaś blade drżały mu nerwowo. Teraz odezwał się głos księdza Wilmuta, który mimo szeptu cichego, zdradzał surowość, niemal srogość nieubłaganą:

— Zasłużyłeś Eckfriedzie na dozgonne więzienie w domu karnym! Powinien bym właściwie żądać od ciebie wyznania zbrodni publicznego, przed wsią całą i...

— Chcieli byście ojcze duchowny!... — Eckfried wtrącił z przestrachem.

— Nie! Nie chcę, aby starzec dotąd cnotliwy i poważany, stał jako zbrodniarz pod pręgierzem opinji swoich współbraci. Co zaś do wymierzenia ci kary według sądów świeckich, to nie wchodzi w mój zakres działania; nawet mi nie wolno zdradzić i oddać w ręce sprawiedliwości, choćby zbrodniarza najgorszego, skoro tajemnicę złożył u stóp konfesjonału Nie mniej jednak zasłużyłeś na więzienie dożywotne... jeszcze ci to raz powtarzam!

— Nic przecież złego nie uczyniłem!—załkał głucho Eckfried. — Młody baron, w sam czas przeszkodził...

— Chęć znaczy tyle, co uczynek! Chciałeś, żeby ordynat zginął w płomieniach, tak, czy nie? Opowiadaj!

Wobec Rajmunda przyznał się Eckfried zuchwale, chlubił się niemal zamysłem powziętym, teraz jednak, słysząc księdza groźne zapytanie, oniemiał.

— Sądziłem — bełkotał strwożony, gdy spowiednik naglił o odpowiedź — iż toby nie było tak wielkim grzechem, skoro się tyczy tego wyklętego z Felseneck. Przecież nieraz słyszeliśmy z ust własnych księdza, iż to bezbożnik na wieki przez kościół potępiony i odrzucony... Ksiądz proboszcz najlepiej o tem wiedzieć będzie!

— Chciałbyś może, mnie za zbrodnię twoją zrobić odpowiedzialnym? — ksiądz groźnie czoło zmarszczył. — Tobie nie wolno rozsądzać, o ile jest winnym ten, którego ja potępiam. Mnie razem z sakramentem kapłaństwa moc tę nadano, ale zdaje się istotnie, iż wieś cała rości sobie prawo do sądów składania, w czem grubo się myli, i za co musi być ostro skarconą. Teraz atoli idzie mi o ciebie jednego.

Stary nie śmiał bronić dłużej czynu swojego i słuchał słów księdza z pokorą. Nienawiść wprawdzie do ordynata nie zmniejszyła się bynajmniej, w sercu tkwiła zawsze chęć zemsty nienasycona, skoro jednak proboszcz to za zbrodnię uważa i potępia bezwarunkowo, zasłużył widocznie na wyrok tak surowy.

— Wykonasz najdokładniej pokutę, którą ci zadałem?

— Wykonam ojcze duchowny!

— Oprócz tego... dziś jeszcze przyprowadzisz do mnie małego Tony!

Eckfried podniósł głowę, a wzrok jego błędny, wyrażał trwogę śmiertelną.

— Mojego wnuka? — powtórzył głosem bez dźwięku.

— Tak jest! Dusza młoda, nie może być na twój wpływ narażoną. Malec nie powinien dłużej zostawać pod opieką podpalacza. Musisz się z nim rozłączyć!

— Z nim?! Z moim Tony najukochańszym?! i... i... cóż ksiądz proboszcz chce z nim zrobić?

— Oddam go w lepsze ręce, gdzie go będą w ryzach trzymać, w karności przyzwoitej, i nie będą chłopca tak jak ty rozpuszczali. Młynarze właśnie synka pochowali przed kilkoma dniami, zajmą się chętnie twoim wnukiem, a ty się z nim nie zobaczysz, aż wtedy, gdy ja ci na to pozwolę!

— Ojcze duchowny! — błagał Eckfried jak dziecko

rozszlochany. — Wszystko inne, tylko nie to! Młynarze, ludzie bez serca! Z dzieckiem własnem, jak z psem się obchodzili! Będą się znęcali nad moim biednym sierotą! Takie to jeszcze małe, a tak bardzo do mnie przywiązane! Zniosę karę najsroższą... tylko żebym się z wnukiem moim nie rozłączał!

— Tak być musi! — rzekł Wilmut szorstko. — Utraciłeś jako zbrodniarz wszelkie prawa moralne... nie możesz dziecka wychowywać! Wiem, że to kara cięższa dla ciebie, niż samo więzienie, i dla tego ci ją nakładam. Chłopiec dostanie się w ręce ludziom surowym, ale bogobojnym, którzy go poprowadzą w karności i posłuszeństwie. Rzecz skończona! Dziś jeszcze chłopca zabiorę!

Głos starca złamał się łkaniem bolesnem, a ręce złożone i wyciągnięte drżały febrycznie.

— Zważcie ojcze duchowny, że mnie już nie długo na tym świecie. A com ja się nacierpiał, ile zniosłem głodu i nędzy wszelakiej, toć najlepiej księdzu proboszczowi wiadomo. Wszystko i wszystkich potraciłem!... Zostało mi się to dziecię, jedno, jedyne, i ono mnię tylko trzyma przy życiu! Pracowałem nad siły temi czasami, aby nas dwóch wyżywić, ale gdym uznojony i na wpół umarły, wracał wieczorem do domu, a Tony wybiegł naprzeciw mnie, skacząc i śmiejąc się, zapominałem o pracy, o zmęczeniu! Dziecka nie oddam!... niech się co chce dzieje!

— Nie?! — ksiądz przemówił tonem lodowatym. — Zobaczymy! W takim razie nie otrzymasz rozgrzeszenia!

Eckfried z głuchym jękiem twarz oburącz zasłonił.

— Jakże? — Wilmut naglił. — Czy usłuchasz rozkazu, czy też duszę twoją chcesz wydać na wieczne potępienie?

Ton stanowczy zdradził, iż ksiądz jest pewnym swojego, i nie omylił się.

Ręce i głowa starca opadły bezwładnie, a usta drżące wyszeptały:

— Będę posłuszny!

W jakiś czas później, wychodzili obydwaj z kościoła. Na placu szerokim swawoliła liczna dzieci gromadka, skoro jednak malce księdza zoczyli, zrobiło się cicho, jakby pod dotknięciem rószczki czarodziejskiej, i dzieciaki w szpaler się uszykowawszy, z pokorą przystępowały do ucałowania rąk proboszcza.

Tony, żywy jak iskra, naprzód wyskoczył, księdza w rękę pocałował, a potem z czułością niewymowną, uwiesił się dziadkowi na ramieniu, tuląc się do niego pieszczotliwie. Starzec przycisnął chłopca kurczowo, jakby go nie miał nigdy z rąk wypuścić. Wilmut zwrócił się ku niemu, i rzekł z całym spokojem niewzruszonym:

— Chłopiec pójdzie ze mną natychmiast!

Starzec wpatrzył się najprzód w twarzyczkę zarumienioną od biegu szybkiego, w dziecka oczy szafirowe, które tak serdecznie i figlarnie na dziadka mrugały, a następnie przeniósł wzrok na rysy Wilmuta, ostre i surowe. Ta postać, jakby z kamienia wykuta, nie miała w sobie jednej iskry uczucia miłości i miłosierdzia chrześciańskiego!

— Serce mi pęknie z żalu, księże proboszczu!... Pójdę do zamku, do nóg upadnę temu... temu... z Felseneck! Przeproszę, przebłagam... choćbym miał zginąć!... ale dziecka mojego nie oddam!

Zamiast odpowiedzi ksiądz oderwał chłopca od dziadka i chwycił za rączkę.

— Za późno! Tony pójdzie ze mną! Z Bogiem nie można żartować!

Dziecko nie zrozumiało, o co rzecz idzie, skoro jednak zobaczyło się w mocy proboszcza, którego bało się jak ognia, zaczęło krzyczeć w niebogłosy, usiłując wyrwać się i do dziadka ukochanego powrócić. Wkrótce jednak Wilmut uporał się z chłopcem, zmuszając do milczenia i posłuszeństwa.

Eckfried nie ruszył się z miejsca. Jeszcze w nim przeważało ślepe, zabobonne niemal poddanie się woli księdza wszechwładnej, pozwolił zabrać sobie co miał najmilszego, i nie ośmielił się bronić dziecka od napaści. W twarzy jednak kurczowo drgającej, błysnął ogień ponury gniewu i nienawiści. Gdy chłopczyna po raz ostatni zwrócił się ku niemu z twarzyczką łzami zalaną, z wzrokiem przelęknionym, jakby dziadka o litość błagając, Eckfried pięście groźnie zacisnął, zgrzytnął zębami i mruknął głucho:

— Mnie karze, a kto tu zawinił?! Sam wieś całą judził, buntował, przeciw temu tam z Felseneck, a teraz my mamy za to pokutować!

Przed bramą zamkową w Werdenfels, stał kocz czwórką zaprzężony, który miał zawieść Pawła do Rosenberg. On sam był jeszcze u stryja, gdyż wczoraj późno z Buchdorf wróciwszy, nie widział wcale ordynata, i nie mógł mu powiedzieć o swoich zaręczynach.

Rajmund zdziwił się wprawdzie nowiną tak niespodziewaną, nie okazał jednak najmniejszej niechęci do tego projektu. Zdawało się nawet, jakoby mu to przyjemność pewną sprawiało, że bratanek wyrugował z serca dawną miłość namiętną, do starszej siostry swojej narzeczonej.

— Życzę ci szczęścia Pawle, sercem całem!... — zawołał, ściskając mu czule obie dłonie — i nie wątpię, że je znajdziesz w całej pełni, przy boku tego dziecka niewinnego, które skłania się ku tobie miłośnie, jak kwiatek zwraca się ku słońca promieniom. Raz tylko, i to nader przelotnie, widziałem twoją narzeczonę, wtedy pod górą zamkową, gdy z taką trwogą kryła się przedemną poza twoje plecy. Może teraz wyperswadujesz jej, że nie jestem tak srogim i strasznym.

— O! moja śliczna, mała Lily, jest nader pojętną uczennicą! — Paweł zapewnił z całym entuzjazmem rozkochanego. — Zna już z zupełnie innej strony „potwora z Felseneck!“ Wyznała mi jednak w szczerości ducha, iż zrazu była najmocniej przekonaną, żeś

mnię na to do Felseneck sprowadził, żeby jak wampir pić krew moją, lub po prostu ukręcić mi głowę jak makówkę!...

Rajmund uśmiechnął się, był to jednak uśmiech gorżki i bolesny.

Nie myślałem, żeby zabobon ludu wiejskiego sięgał aż tak wysoko! A więc nawet u swojej krewnej, Wilmut znosił i podniecał podobne aberbaje umysłowe?

— Prawdopodobnie! W opozycji jednak przeciw dumie i nieomylności księdza Wilmuta, zgadzamy się z Lily najzupełniej! Dzięki Bogu, ma wstręt prawdziwy do swojego kuzyna, i zawarliśmy z sobą przeciw jego despotyzmowi sojusz zaczepno-odporny!

— Nie powinien byś jednak lekceważyć przeciwnika tak groźnego — Rajmund zauważył. — Masz przykład w Werdenfels, co znaczy wojny wypowiedzenie takiemu jak on człowiekowi! Jest zresztą opiekunem twojej narzeczonej, może ci więc stawiać zapory nieprzezwyciężone w związku z Lily.

— Niech tylko spróbuje! — Paweł brwi zmarszczył z miną wielce junacką. — Jestem gotów da walki, a że Lily będzie po mojej stronie w każdym wypadku, o tem nie wątpię ani chwili.

— Licz i na mnie, jeżeli bym ci w czem mógł pomódz wpływem moim i stosunkami — odezwał się ordynat. — A teraz jedź i pozdrów odemnie najserdeczniej twoją narzeczonę.

— Zresztą, nic mi... dla nikogo nie polecasz? — spytał Paweł wahająco, głosem przyciszonym.

Rajmund odwrócił się, i nad biurkiem pochylił, niby wertując papiery tam leżące.

— Nic... dla nikogo! — odrzekł po chwili.

— W takim razie, nie mogę ci przedstawić i mojej narzeczonej! A tak tego pragnę całem sercem! Od tylu lat widzę w tobie opiekuna, dobrodzieja, ojca niemal!

— Gdy już twoja Lily będzie panią w Buchdorf, z częsta tam zaglądnę, aby cieszyć się szczęściem waszem... Wizyty w Rosenberg chciej mi oszczędzić!

Paweł nie prosił więcej. Odczuł sercem, iż to punkt nadto drażliwy, którego nie wolno mu dotykać. Wziął kapelusz ze stołu.

— Wrócę zapewne aż nad wieczorem — wspomniał na odchodnem. — Nie weźmiesz mi tego za złe, nieprawdaż?

— Pojmuję najzupełniej, iż pierwsza wizyta, oddana narzeczonej, zawsze nadto krótką się wydaje. Zabaw więc jak możesz najdłużej... Czy i Arnolda zabierasz? Widziałem go przed chwilą w pełnej gali.

— Czyż mógłby by mi kiedy zapomnieć i przebaczyć, gdybym go w domu zostawił w dzień tak uroczysty? — Paweł zaśmiał się wesoło. — Chce również zaprezentować się, swojej przyszłej pani, myślę jednak, iż i ona nie potrafi, tak samo jak i ja, natchnąć go winnem uszanowaniem i posłuszeństwem. Znajduje, iż Lily za młoda i za drobna, aby godnie baronowę Werdenfels mogła reprezentować, tem się tylko pociesza, iż po ślubie wyrośnie i z czasem utyje, a ze zbytniej młodości, również niestety poprawiamy się z dniem każdym.

Pożegnawszy się Paweł odjechał.

Rajmund stał w oknie, wzrokiem zamglonym odprowadzając Pawła, wskakującego żywo do powozu. Dziś Arnold raczył usiąść na koźle, obok stangreta, dla większej parady. Spostrzegłszy stryja, Paweł wychylił się z powozu, z twarzą szczęściem jaśniejącą, żegnając go raz jeszcze ręką i okiem rozpromienionem najżywszą radością. I stryj skinął mu głową i ręką, jego atoli czoło szerokie chmura smutku zaćmiła, a zbladłe usta cicho wyszeptały:

— Jak to młodość jest nieopatrzną! jak łatwo jej zapomnieć! Ani śladu w sercu jego owej miłości namiętnej, cień najlżejszy nie ćmi szczęścia obecnego! Przecież i ja wtedy młody byłem!... dla czegoż dotąd miłości jedynej nie pokonałem... nie zapomniałem?! i z nią już chyba wstąpię do grobu!

Drzwi lekko skrzypnęły, i wśliznął się nieśmiało kamerdyner, z miną dziwnie niespokojną i zafrasowaną.

— Ksiądz Wilmut pyta, czy jaśnie pan go przyjmie? — z cicha przemówił.

Rajmund szybko zwrócił się ku niemu.

— Kto taki?!

— Ksiądz proboszcz... czeka w przedpokoju...

— Prosić!

Zaledwie zniknął kamerdyner, pojawił się Wilmut na progu, drzwi za sobą starannie przymykając.

Rajmund powstał, w całej jednak postawie była duma wielko-pańska, którą Wilmut pychą szatańską nazywał. Wyprostował się, jak zawsze imponujący i niedostępny, nieprzyjaciel w obec nieprzyjaciela, i zaledwie głową skinął wchodzącemu.

Wilmut objął to i skonstatował jednym rzutem oka, i on też stał się jeszcze sztywniejszym, jeszcze, jeżeli można, więcej niż zazwyczaj lodowatym.

Usiadł naprzeciw Rajmunda na wskazanym przez tegoż fotelu, i zaczął tonem urzędowym:

— Pan baron łaskaw był trudzić się raz do mnie... spotkanie nasze przypadkowe, na pół drogi, przeszkodziło wprawdzie panu, przestąpić próg niski probostwa, przyjąłem jednak chęć za uczynek, i dziś przychodzę z rewizytą.

— Od dnia tego równo sześć miesięcy minęło — Rajmund wtrącił tonem sarkazmu zjadliwego, nie podając ręki gościowi. — W jaki sposób zbiegł ten długi przeciąg czasu w Werdenfels, wiemy obydwaj doskonale!... Co właściwie sprowadza do mnie księdza dobrodzieja?

— Własny pański interes! — wybuchnął Wilmut niecierpliwie, rozdrażniony tonem drwiącym i dumnym Rajmunda.

— W moim interesie? — powtórzył Rajmund z naciskiem. — Mocno żałuję, żeś się proboszczu trudził daremnie. Przywykłem sam bronić spraw moich, nie czekając na radę i pomoc z pańskiej strony.

— Może zechcesz pan przynajmniej posłuchać ostrzeżenia. Rozwinąłeś panie baronie w dniach ostatnich rygor i srogość niezwykłą, chcesz nawet, o ile mi wiadomo, oddać do sądu karnego kilku przestępców.

— Niezawodnie! I moja cierpliwość wyczerpała się nareszcie! Niedawno próbowano wkopać się do oranżerji, czemu przeszkodziła czujność mojej służby, tej nocy napad powtórzono, niszcząc wszystko w czambuł. Wprawdzie złoczyńców wyłapano na gorącym uczynku, ale kilkadziesiąt drzew pomarańczowych i cytrynowych było już przez pół popodcinanych, a praca lat kilkudziesięciu zmarniała w przeciągu godziny. Sądzisz pan zapewne, że i tę zbrodnię powinienbym płazem puścić?

— Bynajmniej! Nie zaprzeczam panu baronowi prawa najsłuszniejszego co do ukarania psotników, ostrzegam tylko, iż użycie tego prawa, mogło by pociągnąć za sobą skutki fatalne. Ludzie tutejsi nawykli do pańskiej apatycznej obojętności na wszelkie podobne wybryki, zwrot nagły do nieubłaganej surowości, może im się wyda niezrozumiałym i... niesprawiedliwym.

— Na to też zupełnie nie liczę! Unosiłem się nadludzką cierpliwością i wybaczliwością, póki myślałem, iż tym sposobem uniknę ostateczności, gdy atoli stary Eckfried, złapany na gorącym uczynku z zapałką płonącą pod mojemi oknami, zamiast żalu, rzucił mi w oczy z całą bezczelnością, iż chciał mnię po prostu życia pozbawić, aby tem wsi całej oddać przysługę, uznałem, że czas wielki użyć najsroższych środków represyjnych. Po co ja to jednak opowiadam! Zawsze zapominam, że konfesjonał czyni proboszcza w Werdenfels wszechwiedzącym, iż tam przychodzą pochwalić się każdą zbrodnią na mnie dokonaną, bo cała gromada jest naprzód zabezpieczoną i przekonaną... że i najgorszy złoczyńca otrzyma absolucję, skoro czyn jego mnie się będzie tyczył.

— Kto śmie to utrzymywać?! — rzucił się ksiądz oburzony.

Eckfried pierwszy...

— To skłamał bezwstydnie!

Ordynat wpatrywał się przenikliwie w twarz proboszcza, i rzekł zwolna:

— Być może, iż lud ciemny zaszedł dalej niż pan chciałeś, i niż się spodziewałeś. Szkoda, żeś się naprzód nie zastanowił nad tem księże, że częstokroć grudka śniegu nieznaczna, ręką nieopatrzną ze szczytu góry strącona, rośnie w olbrzymią lawinę, i niczem już w biegu nie da się zatrzymać.

— Nie o mnie tu idzie! — Wilmut szorstko odrzucił. — Mnie nic nie grozi i grozić nie może! — powtarzam atoli, i ostrzegam powtórnie, że ludzi przyzwyczajonych do bezkarności zupełnej, surowość bezwzględna, może doprowadzić do ostateczności. Pomiędzy uwięzionymi jest syn Rainera, pierwszego we wsi bogacza, który między chłopstwem rej wodzi. Myśl, iż syn jego, mógłby dostać się do kryminału, wprawia go w wściekłość. Był dziś rano u mnie, miotając przeciw panu najstraszniejsze groźby i złorzeczenia. Strzeż się zatem baronie! To natura dzika, namiętna, zdolna do wszystkiego! Powinnością moją było ostrzedz o niebezpieczeństwie.

Rajmund uśmiechnął się szyderczo i pogardliwie.

— Mam więc odtąd lękać się chłopstwa rozbeztwionego, dla tego, że tobie księże proboszczu, władza nad nimi nieograniczona, z rąk się wymykać zaczyna?

— Mnie?! Jakże pan baron możesz wiedzieć o tem?!

— Domyśliłem się z łatwością, iż tak jest, skoro ty księże w zamku się pojawiłeś.

Wilmut usta do krwi zagryzł, nie śmiał jednak tym słowom wręcz zaprzeczyć. Czuł instynktowo, iż zmniejsza się jego przewaga, władza nieograniczona słabnie, że nie zdoła może lawiny groźnej powstrzymać. Duma nie pozwalała mu atoli, przyznać się do czegoś podobnego w obec przeciwnika, odezwał się więc wymijająco:

— Przyszedłem, aby przeszkodzić możebnemu wypadkowi. Zostaw mnie panie baronie winnych skarcenie. Z ust kapłana i spowiednika, przyjmą karę najsroższą bez szemrania, a pan nie będziesz za tę karę odpowiedzialnym, unikniesz następstw fatalnych, unikniesz zemsty i nienawiści, przeciw twojej osobie wymierzonej. Możesz panie baronie oddać tę sprawę w moje ręce. Wymierzę złoczyńcom karę cięższą może nawet, niżby sam sędzia kryminalny to potrafił.

— Dziękuję! — Rajmund zimno odrzucił. — Wolę jednak zbrodnię przeciw mnie wymierzoną ukarać osobiście, nie używając kogoś trzeciego. Nie mogę zresztą skompromitować się przed służbą całą, której z góry zapowiedziałem, iż tym razem będę nieubłaganym. Nie chcę, żeby mnię o słabość niegodną posądzali. Jako pan na Werdenfelsie, miałem prawo uwięzić złoczyńców chwilowo, jutro zaś oddam ich w ręce sądowi karnemu. Tak być musi... nieodwołalnie!

— Nie mogę, ma się rozumieć, przeszkodzić panu baronowi, w użyciu przysługującego mu prawa odwetu, gdy to jednak nastąpi, za skutki nie ręczę i za całość pańskiej osoby nie chcę być odpowiedzialnym!

— A czym ja dotąd zgłaszał się do pana z prośbą o pomoc?! — Rajmund dumnie się wyprostował. — Nikomu w opiekę się nie oddałem, i każde wmięszanie nieproszone do spraw moich, stanowczo odrzucam! Jestem panem na Werdenfelsie, i wszelkie zatargi z chłopstwem tutejszem, sam załatwić potrafię!

Wilmut o krok się cofnął. Te słowa zwięzłe, ostre i energiczne, były dla niego niesłychaną niespodzianką. Ocenił na pierwszy rzut oka, iż Rajmund zmienił się wielce, zmiana ta jednak w tej chwili dopiero uderzyła go i zaniepokoiła. Człowiek, który teraz stał przed nim, imponował spokojem lodowatym i tonem surowym, rozkazującym, władcy nieustraszonego. Ani cieniu w nim nie zostało z owej apatji, z owego rozmarzenia chorobliwego, które było opanowało bladego samotnika w Felseneck. Widocznem było, iż walkę rozpoczętą od kilku miesięcy, do końca doprowadzi i potrafi z niej wyjść zwycięzko.

— Pan baron zatem jest zdecydowany, iść we wszystkiem za przykładem swojego ojca tyrańskiego? — odezwał się Wilmut zjadliwie. — Syn ojca nieodrodny!... nad wszelkie nasze oczekiwania! Że jesteś i byłeś baronie panem samowładnym na Werdenfelsie... wieś nieszczęśliwa aż nadto boleśnie o tem przed laty się przekonała!

Przy słowach ostatnich, zniżył głos do szeptu prawie, a jednak przeszyły one serce Rajmunda, niby grot ostry, wywierając efekt piorunujący. Zbladł śmiertelnie i zachwiał się, po chwili jednak odzyskał przytomność i podniósł wzrok od ziemi, fiksując ostro i śmiało Wilmuta.

— Przestań-że raz księże prześladować mnię tą starą baśnią! Był czas, w którym drżałem na najlżejsze o tem wspomnienie, nauczyłem się jednak patrzeć i na tę sprawę z innego stanowiska. Pan zaś straciłeś wszelkie prawo nękać mnię tamtego faktu przypomnieniem, odkąd twój upor jedynie sprawił to, iż gromada nie przyjęła mojej ofiary, odrzucając projekt budowania tam ochronnych. Wiem doskonale, czyja ręka w tem czynną była! Ja czyn rozpaczliwy, odpokutowałem latami długiemi tęsknoty śmiertelnej i zwątpienia bolesnego, ty atoli proboszczu odrzuciłeś zimno, z całym namysłem i spokojem niewzruszonym, pomoc, którą chciałem wieś moją zasłonić przed grożącem niebezpieczeństwem. Strzeż się pan, żeby po raz drugi żywioł jeszcze straszniejszy od ognia, nie pochłonął całego Werdenfels! Tym razem, ty jeden będziesz za ten czyn odpowiadał, tak przed ludźmi jak przed Boga trybunałem!

W słowach tych odzywała się groźna przepowiednia, odbiły się jednak, niby od skały, od księdza nieomylności. Odrzucił ze spokojem niewzruszonym:

— Uczyniłem, jak mi sumienie nakazywało i potrafię sam za słowa moje odpowiedzieć!

— Odpowiesz-że pan również za tych wszystkich, którzy mogą popaść w niedolę najstraszniejszą, zejść marnie z tego świata, dzięki twojej zawziętości? Jest to zawsze zbyt wielka zuchwałość, jeżeli człowiek chce się bawić w Opatrzność, choćby nawet oblókł suknię duchowną. Powody przynajmniej, do czynu tak śmiałego, powinny być czystemi, i nie mieć w sobie cieniu samolubstwa, tobie zaś księże podyktowała kroki w tej sprawie uczynione, nienawiść osobista, prześladująca mnię od chwili, gdym stał się dziedzicem tego terytorjum, która w dzikiem zaślepieniu odrzuciła wszystko, czem starałem się doprowadzić do zgody i porozumienia z ludem tutejszym. Ukoronowałeś zaś dzieło zniszczenia, wydzierając mi nawet narzeczonę!

— I tego jednego, nie możesz zapomnieć i przebaczyć, panie baronie! Mnie i moją opozycję byłbyś pominął, wiem o tem aż nadto dobrze! I wyrok kapłana był dla ciebie bez znaczenia, bo przecież płynie w tobie krew butna, nawet przed prawami kościoła niechcąca ugiąć karku dumnego, krew tyrańskich Werdenfelsów! Musiałeś atoli uznać przewagę moralną opiekuna, który spełnił tylko najświętszą powinność, lecząc z grzesznego zaślepienia, powierzoną jego pieczy małoletnią.

Rajmund zmierzył mówiącego, od stóp aż do głowy wzrokiem surowym i do głębi przenikającym.

— Ksiądz proboszcz daruje — rzekł zwolna, słowo każde akcentując — iż na tę „świętą powinność" zapatruję się z zupełnie innego stanowiska. Czy występując przeciw naszej miłości z surowością tak namiętną, niwecząc gwałtownie węzły nas łączące, miałeś jedynie dobro twojej pupilki na myśli? Czy istotnie stanął między nami zaporą niezwalczoną kapłan duchem bożym natchniony, opiekun z sercem dla żadnego uczucia ziemskiego nieprzystępnem, czy też raczej...

Urwał, spojrzenie atoli i uśmiech szyderski słów resztę zupełnie zastąpiły. Wilmut zerwał się na równe nogi, jak gdyby policzek otrzymał.

— Pan baron ośmiela się przypuszczać?!...

— Nic nie przypuszczam... pytam się tylko... Byłoby jednak możebnem, że człowiek, któremu się zdaje w grzesznej zarozumiałości, iż przeniknął skrytości serc ludzkich, i że mu z góry udzielono daru czytania w tychże sercach, niby w księdze otwartej, że ten sam człowiek — powtarzam — mógłby nie znać serca własnego i mylić się z gruntu w zapatrywaniu na własne porywy namiętne!

Przyszła kolej na Wilmuta okryć się bladością śmiertelną, a w ciemnych źrenicach pojawił się znowu ów blask niepewny, fosforyczny. Tym razem płomień nie zgasł tak prędko, gdyż podsycała go nienawiść zacięta do Rajmunda, który śmiał odchylić zasłonę, śmiał napomknąć o uczuciu, które nie powinno było istnieć, które całą siłą woli pokonywał, a ono jednak, mimo tej woli niezłomnej w każdym innym wypadku, nad nim wszechwładnie panowało.

— Nie przyszedłem tutaj, aby znosić pańskie obelgi — ksiądz odezwał się wreszcie po chwili głuchego milczenia, a głos mu drżał dziwnym niepokojem. — Chciałem ostrzedz przed skutkami, jakie mogą nastąpić w skutek niewczesnych rygorów i bezwzględnej surowości. Skoro w ten sposób pogardliwy widzę przyjętą przestrogę moją, umywam ręce od wszystkiego i... żegnam pana barona!

Rajmund tak samo jak na powitanie, zaledwie raczył głową skinąć lodowato, a za chwilę był już sam w komnacie.

XX.

W godzinę później Rajmund wychodził na terasę zamkową, gdzie właśnie przyprowadzono Emira osiodłanego. Ordynat codzień o tej godzinie konno wyjeżdżał, dziś atoli uderzało to jakoś niezwykle służbę całą, wzajemnie coś sobie na ucho szeptano, a nawet marszałek dworu, tak zwykle sztywny i w powadze swojej niewzruszony, miał minę dziwnie zakłopotaną, i słuchał z widocznym niepokojem raportu swoich podwładnych.

Skoro zoczyli ordynata, służba rozpierzchła się,

i z niskim ukłonem szpaler uformowała, jeden tylko marszałek ośmielił zbliżyć się do barona.

— Jaś niepan wyjeżdża? — spytał z należnem uszanowaniem, ale i z pewnym naciskiem.

Rajmund zatrzymał się, mierząc marszałka wzrokiem zdziwionym.

— Dzień w dzień przecież, czynię to samo.

— Ale bo dziś... wyłącznie... panuje niepokój między chłopstwem... całe Werdenfels w poruszeniu.. a do tego i młodszy pan baron nie powrócił, który zwykle jaśnie panu towarzyszy.

— Tem lepiej — rzekł Rajmund wyniośle — mój bratanek nie umie dość panować nad sobą, łatwo się unosi, a tu trzeba przedewszystkiem spokoju i wytrwałości.

Skinął na masztalerza i konia za uzdę pochwycił. Marszałek przyzwyczajony, jak i służba cała, do ślepej uległości, zawahał się chwilę, przemogło w nim jednak szczere do pana przywiązanie, nie dał więc jeszcze za wygranę, i mówił dalej, złożywszy ręce jak do modlitwy:

— Nie śmiał bym chroń Boże! jaśnie panu radzić lub odradzać, usposobienie chłopstwa atoli jest nader groźne. Nie mogą tego pojąć, żeby złoczyńcy w nocy przytrzymani, mieli tym razem otrzymać karę zasłużoną... chcą ich gwałtem uwolnić... Kto żyw wyległ na ulicę, krzyczą i rezonują w niebogłosy! Tylko dziś niech się jaśnie pan nie pokazuje!... tylko ten dzień jeden! Czy to jaśnie pan nie zna ludzi tutejszych?!

— Znam ich doskonale! — Rajmund uśmiechnął się gorżko, głaszcząc giętką szyjkę Emira. — Ale czas wreszcie, żeby i oni mnię poznali!

Jednym rzutem był już na koniu; wierny sługa jeszcze nie ustępował.

— To niech jaśnie pan pozwoli przynajmniej, żeby jechał z tyłu masztalerz! Młodszy pan baron był również zdania, żeby...

— Pojadę sam! — przerwał mu Rajmund tonem, który nie znosił dłuższej opozycji, dodał jednak łagodniej, widząc trwogę śmiertelną, w rysach drgających nerwowo, sługi poczciwego:

— Niema się czego obawiać... nic mi się nie stanie, i wkrótce będę z powrotem.

Marszałek odstąpił. Znał ten ton i wiedział, że poddać mu się musi. Przeczucie złowrogie miotało atoli sercem jego, gdy wzrokiem niespokojnym ścigał odjeżdżającego.

Rajmund zjeżdżał zwolna z góry zamkowej, ulicą, która wprost do wsi prowadziła. Nie łudził się bynajmniej, co do położenia nader groźnego. Aby przekonać go najzupełniej, wystarczyła wizyta niespodziewana księdza Wilmuta. Wiedział jednak i o tem, po rozmowie z Eckfriedem, że jego dotychczasową pobłażliwość chłopstwo tłumaczy sobie brakiem odwagi i energji z jego strony. Lud ciemny, wierzący li w siłę brutalną, nie miał pojęcia o owej niewzruszonej wytrwałości i spokoju, trudniejszym o wiele, niż gwałtowne i namiętne wybuchy. Oni zresztą nawykli byli za czasów nieboszczyka barona, do prawa odwetu natychmiastowego. Tamten napaść każdą z lichwą oddawał, to też nikt nie śmiał z bliska go atakować, mimo iż go z duszy całej nienawidzili. Z synem natomiast, wszystko sobie pozwalano, a jeżeli dotąd na życie nie godzili, to jedynie ze względu na czary i pakt z szatanem, zawarty przez Rajmunda, w co chłopstwo święcie wierzyło.

Te to ciężkie myśli, coraz głębsze fałdy na czoło Rajmunda nasuwały, i twarz coraz smutniejszy, więcej ponury wyraz przybierała. Przejeżdżał właśnie po pod ogród do probostwa należący, który dotąd pozostawał sztywnym i pustym, pod grubą a mroźną warstwą śniegu, gdy w tem obił mu się o uszy, płacz rzewny dziecka, i zobaczył na niskim przełazie, obok furtki zamkniętej, chłopczynę około lat pięciu, który siedział na płocie przykucnięty, i tak zawodził w niebogłosy, jak gdyby mu pęknąć miało małe serduszko. Rajmund wystrzegał się zwykle, zaczepiać rozmową wiejskie dzieciaki, bo wiedział, że uciekają w nogi od niego, z krzykiem i przerażeniem, ten jednak płacz gorżki dziecka samotnego i o ile się zdawało opuszczonego, odbił się echem bolesnem w jego własnej duszy. Wstrzymał konia mimowolnie, a pochyliwszy się nad płotem, spytał cicho i łagodnie:

— Czemu tak rzewnie płaczesz, biedne dziecię?

Malec przestraszył się zrazu obcego głosu, i wlepił piękne oczka szafirowe, dotąd łez pełne, w jeźdźca, którego nie znał. Uroił sobie w małej główce, iż to pewnie któryś z dworskich oficjalistów, często z zamku przez wieś przejeżdżających. Gdy nieznajomy spytał go powtórnie, chłopczyna na nowo płaczem wybuchnął.

— Mam iść het od dziadunia! daleko, aż tam do młyna... do takich złych ludzi, co dzieci męczą, biją!... i niemam już nigdy, nigdy wrócić do dziadunia... bo tak kazał ksiądz proboszcz!

— Czyim żeś ty wnukiem? — Rajmund zbliżył się do samego płotu.

— Dziadunio nazywa się Eckfried — łkał malec w najlepsze — a ja jestem Tony Matt. Mamę moją niedawno do grobu schowali, tato gdzieś odjechał... ja mam tylko dziadunia, i dziadzio ma tylko mnie!... Nie chciałem iść od niego, i on mnie dać nie chciał, ale ksiądz proboszcz zabrał mnię gwałtem i trzyma przy sobie, póki mnię do młynarzów nie odda!

Rajmund drgnął i wpatrzył się w chłopczynę, jakby mu swoją twarzyczką, czyjeś rysy przypominał. Domyślił się, iż to miała być pokuta, zadana Eckfriedowi przy spowiedzi. Cięższej istotnie trudno było wymyśleć! Doszło nawet do Rajmunda, jak starzec tego wnuka ubóstwia, jako ostatni węzeł z życiem go wiążący, ostatni i jedyny na jego drodze ciernistej szczęścia promyczek!

— Tak! tak! — uśmiechnął się gorżko, w malca zapatrzony. — Ksiądz Wilmut umie serca ranić śmiertelnie! W tej sztuce jest mistrzem! Chciałbyś zatem wrócić do dziadunia?

Tony patrzał na pół ze strachem, na pół z coraz

wzrastającą ufnością, w oblicze nieznajomego; skoro jednak ktoś mu okazał litość i współczucie, przestał płakać, a gdy Rajmund dalej go o to i o owo wypytywał, szczebiotał swobodnie, z dziecięcą szczerością i nieoględnością. Wreszcie wlepił oczęta z zachwytem w lśniącą szyjkę ślicznego wierzchowca.

— Czy wolno mi konika pogłaskać? — prosił czule, ze złożonemi rączętami.

— Nie dostaniesz tak wysoko — Rajmund zauważył.

— Czemu nie! — krzyknął malec, drapiąc się zwinnie po płocie, jak kotek. Za chwilę siedział na ostrzeszku, i bojaźliwie, ostrożnie, pociągał dłonią po łebku kształtnym i szyi Emira. Koń nie bardzo chętnie przyjmował zrazu te pieszczoty, parskał i nóżką grzebał niecierpliwie, uspokoił się atoli na głos pana, i pozwolił dziecku głaskać się dalej, bez najlżejszej opozycji.

— Jabym tak chciał wsiąść na konika! — przemówiło dziecko nienasycone, zapomniawszy zupełnie o smutku poprzednim.

Rajmund uśmiechnął się łagodnie, wyciągnął ramiona i posadził chłopaka na siodle przed sobą. Tony nie posiadał się z radości, śmiał się, w rączki plaskał, wołał na konia, do biegu zachęcając, i ordynat musiał trzymać z całej siły swawolnika, żeby mu się z rąk nie wyśliznął.

Po raz pierwszy od lat wielu, trzymał w objęciu jakąś ludzką istotę, która pieszczotliwie i z całem zaufaniem tuliła się do niego. Był zawsze otoczony li służbą swoją, a ci chodzili na palcach, kłaniali się przed nim nisko, z uszanowaniem głębokiem i jakąś zabobonną niemal trwożliwością. Gdy zamek opuszczał, znajdywał się wśród rozpasanej chuci i nienawiści namiętnej chłopstwa, na jego zgubę sprzysiężonego; ta nawet, którą nad życie ukochał, odtrącała go ze wstrętem, z przerażeniem, skoro ręki jej dotknąć spróbował. Nigdy może nie przedstawiło mu się tak boleśnie, jak w tej chwili, jego zupełne osamotnienie, to też z czułością namiętną przyciskał do łona to obce dziecię, które po raz pierwszy, od lat wielu, było niejako węzłem, łączącym go z ludzkością. Była więc na świecie jakaś istota, która nie odwracała się od wyklętego z lękiem i nienawiścią!... Podniósł delikatnie jasną główkę, wpatrując się z lubością w oczka szafirowe, uśmiechające się do niego wesoło i figlarnie.

— Tony! A to co się znaczy?! — zabrzmiał nagle ostry głos Wilmuta, który wszedł do ogrodu, aby chłopca poszukać, i z najwyższem zdziwieniem wypatrzył się na Rajmunda, trzymającego dziecię w objęciu.

Tony, chociaż nie długo jeszcze gościł na probostwie, musiał już doświadczyć nieubłaganej księdza surowości, bo spojrzał w oczy nieznajomemu, ze strachem o litość błagając, i znowu zaczął krzywić buzią płaczliwie. Rajmund przemówił zimno, chłopca z rąk nie wypuszczając:

— Słyszę właśnie od malca biednego, iż na pański rozkaz wyraźny, został gwałtownie z dziadkiem rozłączony. Domyśliłem się łatwo, co spowodowało karę tak srogą! Racz księże proboszczu odpuścić winę Eckfriedowi, skoro ja, głównie czynem jego dotknięty, wszystko mu z serca przebaczyłem, i nie żądam z jego strony żadnego zadość uczynienia.

Wilmut zbliżył się tymczasem, i stanął również pod samym płotem.

— Przykro mi — rzekł tonem lodowatym — iż nie mogę spełnić życzeń pana barona. Grzesznik, dla zbawienia własnej duszy, winę musi pokutą okupić, to zaś, przeciw komu zawinił, nie obchodzi mnię wcale. Zejdź z konia Tony natychmiast!

Rozkaz był stanowczy, dziecko atoli nie mogło samo opuścić tak wysokiego siedzenia. Czekał zatem, czy go zesadzi nieznajomy, w którym instynktowo odgadywał obrońcę i opiekuna. W łzawem chłopca spojrzeniu była niema prośba, a obiema rączkami trzymał się kurczowo ramienia, które go dotąd trzymało w objęciu.

— Oddam chłopca dziadkowi — odezwał się Rajmund krótko i węzłowato. — Przepraszam księdza proboszcza, ale nie dopuszczę, żeby wyrok tak niemiłosierny, został spełniony w całej swojej srogości!

Cmoknął na konia, aby go do biegu zachęcić. Wilmut nie sprzeciwiał się pozornie, tylko uśmiech szatański usta blade mu wykrzywił.

— Tony! — rzekł zwolna, kładąc nacisk na każde słowo. — Chcesz zatem jechać z tym nieznajomym? A czy wiesz, że to pan z Felseneck?

Tony drgnął i oczęta wybałuszył, wpatrując się w ordynata z trwogą śmiertelną, jakby tenże zmienił się nagle w strasznego potwora. Teraz chciał zeskoczyć z konia, na złamanie karku, i Rajmund musiał użyć całej siły, aby nie spadł głową na dół. Chłopak bronił się zawzięcie i wyrywał z krzykiem zgrozy i przerażenia, z ramion, w których przed chwilą, z taką wiarą i ufnością szukał pomocy. Nie mógł by okazać więcej trwogi i wstrętu, gdyby widział nad sobą połyskujący nóż zbójnika; ten jeden frazes wystarczył, aby zmiany dokonać: „To pan z Felseneck.“

Rajmund nie rzekł więcej ani słowa, wziął w pół malca i nazad na płot posadził. Tony zsunął się z płotu na ziemię, aby schować się czemprędzej za plecy Wilmuta. Bał się go wprawdzie jak ognia, ale był to zawsze ksiądz proboszcz, a ten tam z Felseneck, gorszy od djabła samego!

Wilmut stał dumnie wyprostowany, a uśmiech szyderski z ust dotąd nie zniknął. Znowu wyszedł z walki zwycięsko, zadając wprawną ręką cios śmiertelny przeciwnikowi. Że trafił doskonale, było aż nadto widocznem. Rajmund spojrzał jeszcze na dziecko, raz jeden, jedyny, i ścisnąwszy konia ostrogami, że stanął dęba spłoszony, puścił się ku wsi pełnym galopem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEBEZPIECZNA.

(Dokończenie Części pierwszej)

Były to chwile roskoszne. Przez kilka miesięcy lady Karolina czuła się niemal szczęśliwą. Otoczona młodemi kobietami, w pełnym kwiecie piękności, które opływały w zbytek tak, jak o tem niegdyś marzyły, doznawała w ich towarzystwie prawdziwej przyjemności. Woń cokolwiek odurzająca ich miłostek, przejmowała ją na wskroś, i zmysły miło łechtała. Zazdrość nikczemna nie wśliznęła się dotąd pomiędzy serdeczne przyjaciółki, i nie psuła im harmonji, w ich ścisłem kółku panującej. Czuła się upojoną, spoczywając na miękkich ottomanach w pawilonie Armenonville, między Blanką a Noemi, pieszcząc słuch srebrnym głosikiem Irmy, bawiąc oczy klejnotami Ludwiki, która była zawsze okryta drogiemi kamieniami. Niczego wtedy nie pragnęła, za niczem nie żałowała, nie czuła nawet ciężaru owych miljonów, które ją zmuszały do wyrzeczenia się raz na zawsze przygód miłośnych i życia awanturniczego prawdziwej kokotki. Dziwny przesąd, który ją wiecznie prześladował, iż jej duże, siwe oczy, przynoszą każdemu, na kim spoczną wyłącznie. śmierć nagłą w darze, usposabiał ją doskonale do takiej roli biernej i czysto konteplacyjnej. Upajała się roskoszą, nie dotykając czary własnemi ustami, nie pijąc z niej owych mętów, które zwykły znajdować się na spodzie. Czyż mogła życzyć sobie czegoś więcej?!

Tylko regularnie o szóstej wieczorem, każda z tych dam przypominała sobie jakąś schadzkę. Sześć uderzeń zegaru zaprzątało ich umysł interesami na serjo. Noemi przeglądała notatki w pularesiku okropnie zatłuszczonym, zamazanym jakiemiś znakami kabalistycznemi, który o sto mil pachnął żydówką. Ludwika rzucała wzrokiem na układ klejnotów, odgadując z ich pomocą, któremu z licznych wybranych dała redenz-vous na ten wieczór. Irma egzaminowała nóżkę arystokratyczną, wązką jak biszkopt, a wysoką na podbiciu, iż dobra mysz mogła przebiedz pod nią, przypominając sobie miejsce i godzinę, podług koloru i deseniu cieniutkich pończoszek ażurowych. Każda posiadała inny system miłośno-mnemotechniczny. A gdy były pewne, iż nie pomyliły się, mięszając barona z hrabią, biorąc Mojżesza za Arona, rozlatywały na wsze strony, niby stado ptaków spłoszone. W minucie lady Karolina widziała się osamotnioną przymusowo, co jej wielką przykrość sprawiało.

Wieczory zaczynały być długiemi, a nie miała ich czem zapełnić.

Odwidzała teatra, spróbowała interesować się sztukami w modzie i tych autorami, wkrótce jednak wydało jej się to nadto żmudnem i niewdzięcznem zajęciem. Wolała trzymać się gwiazd stałych, badając z dnia na dzień, jak wypływają coraz wyżej i wyżej na firmament sceniczny. Tym sposobem była świadkiem tryumfów Łucji i Franceski, święconych w jakiejś operetce, w której Franceska w męskiem przebraniu, a Łucja jako wiejska dzieweczka, grały niezrównanie scenę miłośną. Cały Paryż, spieszący i cisnący się na operetki, wpadał w zachwyt, gdy Franceska z taką namiętnością przyciskała do łona Łucję, iż płeć męska na prawdę, nigdy by sobie czegoś podobnego nie mogła bezkarnie pozwolić. Lady Karolina, w loży pierwszego piętra, nie szczędziła oklasków wraz z innymi, i przy końcu bukiet swój rzuciła dwom artystkom pod nogi.

Poznały ją, Franceska od ust całusa posłała ku loży się zwróciwszy, a Łucja tymczasem bukiet na znak wdzięczności do piersi przytuliła.

Nazajutrz to samo powtórzyła, z tą tylko różnicą, iż w bukiecie znajdował się jej adres na bilecie wizytowym.

Dwie divy pospieszyły na ulicę Villiers, na nieszczęście podczas przejażdżki lady po lasku. Rewizytowała je zaraz nazajutrz.

Mieszkały razem jak dwie siostry, w małem, ślicznie utkiem mieszkanku, przy ulicy Laffite. Nie były jednak spokrewnione, nie było też między niemi cieniu podobieństwa. Łucja była blondynką sentymentalną, z oczami koloru nieba, i w tę też stronę wiecznie skierowanemi, Greuze'a typ ulubiony; druga, silna bruneta, z włosami twardemi, które nisko od połowy karku wyrastały, z lekkim puszkiem czarnym, nad ustami purpurowemi, z niższą wargą trochę odstającą, miała minkę wielce rezolutną, a nawet wojowniczą.

Przyjęły lady Karolinę nadzwyczaj serdecznie, rozmawiały o Saint-Denis, nie udając żalu i rozrzewnienia na wspomnienie o zakładzie, jak to uczyniła Blanka, oświadczyły kategorycznie, iż czują się zupełnie zadowolone z zawodu, który wybrały dobrowolnie, że życie aktorki, nie jest znowu tak wielkiemi przykrościami najeżone, jak to niektórzy utrzymują. Obchodzą się bez kochanków, i bardzo im z tem wygodnie.

Gdy lady Karolina wspomniała nawiasem o Księżniczce lazurowej i reszcie koleżanek, które brnęły po same uszy w miłostkach więcej niż lekkich, potępiły ich postępowanie spokojnie, bez złośliwej przesady, nie bawiąc się bynajmniej w świętoszkowstwo.

— Zapewne... nie miały biedaczki wyboru... sieroty, ubogie... rzucone w wir bez opieki... Ale przekonasz się duszo droga wkrótce, jaki ten ich światek brzydki i nikczemny... poróżnicie się o byle co!...

Przepowiednia miała się spełnić nader rychło. W dni kilka po owej rozmowie, lady została zaproszoną solennie na wieczór do księżniczki, która hucznie obchodziła dzień swoich urodzin. Zawahała się zrazu i chciała odmówić. Znaleść się pomiędzy temi damami i tychże opiekunami, wydawało jej się zbyt drażliwem... Blanka wyperswadowała jej zbytnie skrupuły:

— Jakaż ty jeszcze głupio-naiwna!... Czy myślisz, że ja sobie co robię z mojego księcia?... Nie masz go na szczęście! Wysłany do Londynu, w misji dyplomatycznej... Nie będzie oficera płatnika!... No! teraz rozumiesz?... Kilku dobrych przyjaciół, nic więcej...

zobaczysz!... Słuchaj, aby ci dowieść, jak swobodnie i w ścisłem kółku będziemy się bawili... zaprosiłam także Eugeniusza...

Lady Karolina nic na to nie odpowiedziała. Nie znała owego Eugeniusza, tylko o nim słyszała z często, od samej księżniczki. Był to istny tenor Beaumarchais'go, *cherchant son Ut dans le fond de la cravate* [1]) który dotąd pobierał równo sto franków miesięcznie, i ani rusz! nie mógł pójść wyżej, co Blankę w najwyższym stopniu oburzało.

— Ci paryzcy dyrektorowie, co to za skąpcy obrzydliwi!... Gdyby Genio nie kochał mnię, tak jak kocha, byłby dawno plunął im w oczy i przeniósł się do Ameryki... Tam byliby mu złoty most zbudowali.. obsypali dolarami!... Nie inaczej dużo droga, wierz mi!... Odmówił... bo mnię ubóstwia!... ja go to rujnuję i pozbawiam sławy zasłużonej!...

I dodawała z ironją brutalną prawdziwej kokotki:

— Oh! ten nie potrzebuje widzieć mnię w mundurze z Saint-Denis, wstęgą Legji przepasaną... kocha mnię bez dodatków... czysta oszczędność!

Lady Karolina dała się namówić i przybyła przez samą ciekawość. Obraz, jaki jej się przedstawił, był istotnie godnym widzenia. Na przekór przypowieści ludu francuskiego: „*Un chacun trouve sa chacune*,“ tym razem każda znalazła i przyprowadziła swojego. Noemi była w towarzystwie jakiegoś żydka giełdowicza, małego, żółtawego, z nosem haczkowatym, z oczkami buremi, które świeciły się i biegały w koło niespokojnie, jak ślepie u drapieżnika. Musiał to być jej faktor, kuzyn i przyjaciel od serca, w jednej osobie. Irma uwiesiła się u ramienia tęgiego drągala, który z miny wyglądał na szpicla policyjnego, a chciał uchodzić za reportera dziennika Paris-Boulevard. Przybył wreszcie i Genio ukochany. Lady Karolina osłupiała, widząc go tak szczupłym i cery niemal zielonkowatej. Rzadziutki i wązki wąsik czarny, mocno wywiksowany, odznaczał się na twarzy bladej, jak maska woskowa, niby dwa znaki zapytania. Choć tak niepokaźny, służył nie mniej za źwierciadło, w którem tonął wzrok zamglony księżniczki rozkochanej. Trzeba przyznać, iż Genio wytrzymywał te ataki stoicznie i z uśmiechem pełnym szarmanterji.

Wkrótce jednak lady spostrzegła, siedząc naprzeciw pary rozkochanej, iż tenorek żółciutki i mizerniutki, skoro może, bezkarnie sprzeniewierza się księżniczce i ku niej strzela oczkami, jakby chciał utrzymać przez stół pewien prąd magnetyczny. Nie wiele na to zważała, ukołysana roskosznie wybuchami śmiechu, rozmową swobodną, którą w koło słyszała. Była prześliczną dnia tego i wiedziała o tem. Życie spokojne, które prowadziła, wypoczynek zupełny od wszelkich burz namiętnych, przez tyle miesięcy, pokryły jej lica świeżością i puszkiem niemal dziecinnym. Odznaczała się od innych dam tu zgromadzonych, u których sztuka zastępowała to, czem lady Karolinę natura hojnie obdarzyła. Święciła tryumf swojej piękności z bezwiedną kokieterją, bez cieniu złych myśli. Na nieszczęście, gdy wstawano od stołu, aby przejść do salonu po kolacji, tenorek rzucił się ku niej z impetem, ramię podając. Przyjęła w ducha niewinności, gdy w tem zabrzmiał głos Blanki piorunujący:

— Geniu!... a to co się znaczy?!... przyjdziesz mi tu zaraz, czy nie?!...

Tenorek wziął na kieł widocznie i nie bardzo spieszył się z wykonaniem rozkazu. Blanka wściekła porwała go za rękę, i przemocą prawie wciągnęła za sobą do salonu. Lady znalazłszy się samą, na środku pokoju jadalnego, bez tchu z wielkiego przerażenia, musiała w zwyż obelgi, która ją spotkała, wytrzymać jeszcze wzroki innych kobiet, które ją mierzyły od stóp do głowy, z oburzeniem i srogą naganą, zabierając się czemprędzej każda ze swoim do salonu, w ślad za księżniczką. Noemi jedna została, a odesławszy żydka z pokoju. rzutem oka dumnym i nie znoszącym opozycji, przemówiła tonem gorżkiego wyrzutu:

— Po coś tu przyszła?... Czyż nie widzisz, iż każda z nich lęka się, żebyś jej kochanka nie zabrała?

Lady Karolina zaprotestowała energicznie:

— Jakto?... mnie posądzają?!... przychodzę przecież jako dawna koleżanka!...

— Eh! — Noemi ręką machnęła. — Tu koleżeństwo nic nie pomoże!... Jesteś miljonerką... a taka może przebierać jak w ulężałkach!... mieć na rozkazy lepszych jeszcze, niż ci tutaj!...

Gdy księżniczka, przekonana zapewne przez Eugeniusza, iż uniosła się zazdrością niewczesną, przyjechała na przeprosiny do pałacyku przy ulicy Villiers, lady Karolina kazała jej drzwi zamknąć przed nosem. Rozbrat był najzupełniejszym!... Łucja i Franceska powinszowały tego szczerze swojej nowej przyjaciółce.

W dni kilka zawiązał się stosunek najściślejszy, między dwiema aktorkami a Milady z ulicy Villiers.

Przyjaźń dwóch kobiet, zatrudnionych przez większą część dnia zawodem scenicznym, nie mogła zapełnić życia lady Karoliny, i zadowolnić jej porywów namiętnych. Czułość jednak Łucji i Franceski była tak ognistą, z taką przesadą płynęła im z ust, jeżeli nie z serca, prądem szerokim, niewstrzymanym, iż nadawała charakter zupełnie odrębny zebraniom trzech kobiet, zwykle czczym i nudnym wielce. Ściskaniom i całowaniom końca nie było. Gdy zaraz od progu rzucały się obie z równem uniesieniem w ramiona lady Karoliny, zdawało się młodej kobiecie, iż przez jej policzki okrągłe i krasą młodości pokryte, szukają się ich usta nawzajem, tak pocałunki przenikały niemal jej ciało.

Czasem znowu w prześlicznej oranżerji siadywały we trójkę na kanapce wyplatanej; lady pośrodku z rękami w ich dłoniach, Łucja wzdychająca, z okiem jasnem łzą zwilżonem, Franceska czarną, płomienną źrenicą zapatrzona ponuro w basen marmurowy. Trochę dziwacznie to wyglądało, chwile jednak takiej niemej za

[1]) Szukający *C* wysokiego w głębi krawatki.

dumy, wielce zadawalniały lady Karolinę, przypominając jej żywo słodkie sam na sam z sir Ryszardem, w parku zamkowym, w epoce najszczęśliwszej w jej życiu.

Co do przesadzonych dowodów miłości ze strony dwóch aktorek, lady osądzała takowe z całą wybaczliwością, przypisując w prostocie ducha nawyczkom scenicznym.

— Komedjantki! — powtarzała nieraz z uśmiechem.

Polubiła jednak ich towarzystwo, nie mogła już prawie obejść się bez nich, dlatego, aby im dogodzić, cały tryb życia zmieniła, prawie co wieczór była w teatrze gdzie one dwie występywały, zabierając do siebie na kolację po każdem przedstawieniu. A wszystko czyniła szczerze, otwarcie, występując ze szczodrością i gotowością serdeczną poczciwego koleżki.

Łucja nagle zachorowała i wzięła dłuższy urlop. Lekarz zaczął o suchotach przebąkiwać, wysyłając ją do Cauterets na wypoczynek. Pobladła, pożółkła, a oczy tak promieniste, zapadły się i jakby przez mgłę patrzyły. Przyjaciółki rozstawały się ze łzami, i lady Karolina przez cały tydzień w teatrze się nie pokazała. Gdy wreszcie, znudzona samotnemi wieczorami, weszła jednego dnia do loży, zdziwiła się niezmiernie, widząc Franceskę, jak zwykle w męzkiem przebraniu, tak samo uśmiechniętą, z taką samą werwą i namiętnością, przyciskającą do łona nową partenerkę, jak to dawniej z biedną Łucją czyniła. Nie mogła wstrzymać się tego wieczora lady Karolina od lekkich wyrzutów, że mogła tak prędko zapomnieć o nieobecnej. Aktorka wypatrzyła się, jakby jej prawiła o wilku żelaznym. Oniemiała, widząc, iż słowa jej brzmią w uszach Franceski zupełnie obco i niezrozumiale.

Ta okoliczność oziębiła cokolwiek stosunek wzajemny dwóch przyjaciółek. Nie mniej co wieczór powóz lady Karoliny przywoził i odwoził Franceskę, nie mniej siliła się lady na rozmaite przysługi i dowody serdeczności, co wszystko nagle ustało po kilku słowach, rzuconych przez Blankę od niechcenia, z brutalnością i cynizmem, na który ona tylko zdobyć się mogła:

— Hm! hm! jak ta Franceska starzeje się, mizernieje!... Całkiem zgotowana!... Ba! Łucji nie stało!... Za wiele szczęścia dla jednej!... Za wiele przyjemności z lady Karoliną!

Usłyszała te słowa lady Karolina, z ust dawnej koleżanki, a dziś zawziętej nieprzyjaciółki, schodząc po schodach teatralnych. Były do Irmy wystosowane, a mówione tak głośno, iż wszyscy w około mogli się zbudować tem podłem oszczerstwem.

Wróciła prosto do domu. Zrozumiała nareszcie. Niecne przypuszczenia księżniczki, rozdarły błyskiem piorunowym ciemności, w których błądziła jej ufność i naiwność niebezpieczna... Jej piękność zatem, w pełnym kwiecie, jej miljony, był to ciężar, co dzień boleśniej czuć się dający. W którą stronę się zwróciła, gdzie zapukała, trafiała na spekulacje ohydne, na posądzenia niezasłużone. Przyjaźń była więc niemożebną, w tym pół światku, w którym myślała, iż żyć potrafi, jako prosta, bawiąca się doskonale spektatorka, na wzór owych wojskowych dymisjonowanych, przechadzających się z amatorstwa, z laseczką w ręku, wzdłuż placu, gdzie się manewra odbywają. Była skazaną na dwie ostateczności. Albo kobiety lękały się jej jako rywalki, lub chciały dla samych siebie wyzyskiwać.

I daremnie by protestowała, daremnie by zapewniała o wstręcie wrodzonym do wymokłych Histrionów, w guście Eugeniusza, jak i do Saphos natchnionych ogniem nieczystym, w guście Franceski; nikt by jej nie uwierzył. Człowiek przyzwoity, cofnął by się z pogardą, tak jak kuzyn Alfred, gdyby mu otworzyła dom swój i ramiona; ona sama dotąd, nie potrafiłaby uwolnić się od podejrzeń uwłaczających, ktokolwiek starał by się nawiązać z nią bliższe stosunki, bez różnicy, czy byłby mężczyzną, czy kobietą.

Zerwała na zawsze z Franceską, nie pokazała się więcej w loży, przestała nawet odwidzać inne teatra... Zdawało jej się, iż powinna wyrzec się i tej przyjemności, poświęciła ją też bez wahania, choć nie bez goryczy. Życie było dla niej skończone. W głębi pałacu, w oranżerji, w której teraz pędziła długie godziny, niczem nie zajęte, myśli jej plączące się chaotycznie, przywoływały obrazy lat dziecięcych i pierwszej młodości, jak światło lampy zwabia nocne motyle. Te majaczenia gorączkowe, stawały się powoli rodzajem fiksacji.

Jak daleko pamięcią zasięgała, odszukiwała echo monotonne słów, wiecznie przez panią Vauquelin powtarzanych:

— Kasia ma całkiem oczy swego ojca, będzie podobniusieńka do nieboszczyka! — Przepowiednia niestety sprawdziła się niemal dosłownie.

Kasia, przechodziła dotąd przez życie, skazana na awantury pospolite, zdaleka od miejsc walnych bitew i walk namiętnych, znała li w miłości leże spokojne, zimowe, tak jak jej ojciec znał tylko garnizony po miasteczkach i koszary w stolicy, a nigdy nie zakosztował wojny prawdziwej i życia w obozie, pod namiotem. Wykolejona, choć na pozór niezawisła, zamknięta w kółku ciasnym fortuny książęcej, czyż mogła spodziewać się, iż ktoś pokocha ją szczerze, dla niej samej? Czy mogła uwierzyć w miłość bezinteresowną?

W takiej to chwili krytycznej, spotkała się z baro ronem Raoulem de Frezel.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

KORESPONDENCJE REDAKCJI

— *S. G. w Stanisławowie.* Prosimy w każdym razie przesłać manuskrypt do przejrzenia. — *W. D. w Nisku.* Dziękujemy. — *B. Kal.. w Szczercu.* W żadnym razie zgodzić się na to nie możemy. Rzeczy takie do nas nie należą.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.